

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

— Na odpowiedź nieoczekiwaną miss Farman, koroner zareplikował natychmiast, że ostatnie słowa wyrzekł bez żadnej osobistej intencji i że wogóle nie wie o istnieniu młodego Hildreth'a.

— To pewien pan z Chicago, proszę pana — wyjaśniła miss Farman — kóry miał wejść w posiadanie majątku mojej kuzynki po jej śmierci.

— Jakże to? Mówiła pani, że pani Clemmens nie posiadała innych krewnych!

— Pan koroner ma słusność, ale pan, o którym mówię, nie był z nią spokrewnionym. Zdaje mi się nawet, że nie znali się osobiście. Okoliczność, o której wspominał, pochodzi z testamentu dziadka pana Hildreth'a.

— Testament? Proszę to wytłumaczyć.

— Mój Boże, proszę pana, jestem bardzo nieświadoma w kwestjach prawnych. Zapewne powiem jakieś głupstwo, ale oto, co wiem i co potrafiłam zrozumieć. Dziadek pana Hildreth'a zgromadził dościsły znaczny majątek i nie chciał, aby majątek ten został zniszczony przez syna, który był lekkomyślnym człowiekiem. Napisał więc testament, w którym było nadmienione, że majątek przejdzie w ręce prawnych posiadaczy dopiero po śmierci dwóch osób, wvbranych przez niego. Było to dwoje dzieci: syn jednego z jego urzędników, który zmarł wkrótce i moja kuzynka. O óż, ponieważ o ciec młodego Hildreth'a zmarł również, istnienie pani Clemmens sprzeciwiało się, aby młody Hildreth i dwie jego siostry podać mogli majątek, zapisany im przez ojca.

— Hm, hm! Ciekawy sposób robienia testamentu! Czy nie wiadomo, co się stało z tymi Hildrethami?

— Nie wiem dokładnie, proszę pana. Wiem tylko, że w pewnym okresie czasu młody Hildreth znany był w najlepszych kołach towarzyskich w Chicago, ale później utrzymywano, że żył ponad stan swój i narobił wiele długów.

— Czy znanem jest pani imię tego pana?

— Tak panie Gordon, Gordon Hildreth!

— Gordon Hildreth — powtórzył pan Fradwell, szukając czegoś pomiędzy aktami rozłożonymi przed nim. Po chwili wyciągnął arkusz papieru, który wolno rozwinał.

— Czy może mi pani powiedzieć — podjął po chwili — czy kuzynka pani wiedziała o tem zastrzeżeniu, zawartem w testamencie?

— Tak, panie!

— Czy nie skarżyła się kiedy za nadużycie jej osoby i sytuacji, w jakiej się znajdowała wobec sukcesorów?

— Tak, panie! Była bardzo niezadowolona z tego.

— A czy nie wyrażała kiedy obaw w tym względzie?

Na twarz miss Farman wystąpił wyraz zmięszania.

— Nie wiem, doprawdy, co panu mam na to odpowiedzieć — odparła po chwili wahania. — Nie śmiem wyrazić, że kuzynka moja miała obawy uzasadnione, ale jasne było, że dręczyła ją myśl, iż są na świecie ludzie, którym zależało na jej śmierci. To nie moja wina, jeżeli przeszkadzam tym młodym Hildrethom do podjęcia należnego im majątku, ale też nie dziwiłabym się, gdybym kiedy to okupić musiała cierpieniem.

Słowa te wywołały na sali szmer tak głośny, że koroner musiał przywołać publiczność do porządku.

— Dokąd byliście rozdzielone z kuzynką, miss Farman? — zapytał następnie — musiałyście utrzymywać korespondencję między sobą?

— Tak jest, proszę pana.

— Zechciej pani spojrzeć na ten list, znaleziony między drobiazgami zmarłej. Czy sądzi pani, że ten był dla pani przeznaczony?

— Z wszelką pewnością, proszę pana — odparła miss Farman po przeczytaniu listu.

— Może zechce go pani przeczytać głośno. Panowie sędziowie zapewne uważnie zapamiętają sobie treść tego pisma, napisanego przed samą śmiercią pani Clemmens.

Miss Farman wykonała rozkaz koronera głosem drżącym i niepewnym.

— Wielki Boże! — zawołała, czytając ostatnie słowa.

Zbladła przeraźliwie i wlepiła w koronera wzrok osłupiały.

— Ostatnie pytanie, proszę pani. Wyrażając je, przechodzę może granice prawem nałożone, ale sądzę, że ważność okoliczności będzie dla mnie wytłumaczeniem. Przypuśćmy, że pani Clemmens list ten zakończyła i wysłała, do jakiej konkluzji byłaby pani doszła, przeczytawszy go?

— Zdaje mi się, że mogłabym dojść tylko do jednej. Powiedziałabym, że życie samotne, które ku zwykła wiodła od tak dawna, wpłynęło na osłabienie jej władz umysłowych.

— Ale te obawy, te przeczucia, opisywane przez nią, do kogo odnoszą się mogą?

— Birdzo mi ciężko wyrazić swoją myśl, proszę pana. Niech mi Big wybaczy, jeżeli uczynię krzywdę niewinnemu, ale w tych warunkach byłoby mi trudno nie pomyśleć o..

— O kim, miss Farman?

— O panu Gordonie Hildreth.

Niespodzianka.

Badanie miss Farman było ukończone. Podczas kiedy stara pania wychodziła z sali, wzruszona i przejęta ważnością chwili, pan Byrd miał sposobność rzucić okiem w stronę drzwi, przy których stał ciągle jeszcze opasły nieznajomy, którego twarz detektyw dojrzeć nie mógł. W tej samej chwili ręka tego człowieka wyciągnęła się ku kapeluszowi, leżącemu przed nim na posadzce i wyciągnęła z niego chustkę do nosa. Była to ręka biała, starannie pielęgnowana; na małym palcu błyszczał przepiękny, herbowy pierścionek.

— Ręka człowieka z wyższego towarzystwa — pomyślał detektyw — a pierścionek niebanalny.

Jakież było jego zdumienie, kiedy w parę sekund później ręka ukazała się znowu, ale tym razem bez pierścienia.

— Złazie mi się, piękny panie — monologował w duchu Byrd — że sumienie twoje nie bardzo musi być czyste. Nie zdejmuję się pierścienia z palca w podobnych okolicznościach bez ważniejszej przyczyny. Ciekawy jestem, czy mój szanowny kolega zauważył tę drobnostkę?

Albo szanowny kolega drapał sobie z roztargnieniem policzek, patrząc zupełnie w odwrotną stronę. Równocześnie rozległ się w sali głos doktora Fradwell:

— Panowie przysięgli! — mówił — Słyszeliście zeznania miss Farman, najbliższej przyjaciółki zmarłej, pani Clemmens. Jestem zmuszony zwrócić wam uwagę, że należy ostrożnie jednak brać pod uwagę niepokoje, naturalne zresztą u kobiety postawionej w tak przykrej sytuacji — i podać do wiadomości waszej drugi dokument, pisany również jej ręką, w którym zmarła..

Koroner nie dokończył, w tej chwili bowiem podszedł do niego ważny sądowy i oddał mu depeszę. Podczas gdy doktor Fradwell odczytywał ją, Byrd, pchnięty jakimś nagłym impulsem, skreślił szybko parę słów na ćwiartce papieru, wydarł ją z notatnika. Następnie poprosił jednego z obecnych, aby podał ją koronerowi. W kartce tej radził panu Fradwell zaważać w ścisłości hotelu w celu zapytania go, kto mieszkał u niego w dniu zamordowania pani Clemmens.

Koroner przeczytał kartkę i uśmiech zadowolenia wystąpił na jego usta, gdy spojrzał na podpis. Pochylił się natychmiast do policyanta, znajdującego się obok niego i wydał mu zapewne potrzebne rozporządzenie, bo Byrd ujrzał, że policyant skierował się ku drzwiom, a doktor Fradwell podjął rozpoczętą przemowę.

— Znalazłem ten papier, z którego treścią pragnę panów zapoznać, w szafce biurka pani Clemmens, pod stosem różnych kwitów. Panie Black! — zwrócił się do prezidenta sądu — Czy zechce pan przeczytać głośno tę kartkę?

Pan Black z miną poważną i skupioną wykonał bezzwłocznie to zlecenie.

— Pragnę — pisała pani Clemmens — w razie gdybym umarła śmiercią gwałtowną i nagłą — aby władze sprawiedliwości zbadały możliwą winę pana Gordona Hildreth z Chicago. Jest to człowiek zupełnie wyzuty z wszelkich zasad i mam głębokie przekonanie, że jeżeli przeznaczeniem moim jest umrzeć w ten sposób — to stanie się to z jego przyczyny, bo Hildreth będzie pragnął wejść spieszenie w posiadanie majątku, z którego korzystać może dopiero po mojej śmierci.

Marya Anna Clemmens.

— Poważne oskarżenie! — zauważył sędzia, oddając papier koronerowi, podczas kiedy na sali wzrósł szmer szeptów.

— Oskarżenie nie poparte jeszcze żadnym dowodem! — odpowiedział doktor Fradwell — Zdaje mi się jednakże, że jest rzeczą ustaloną, iż pan

Gordon Hildreth nie znajduje się obecnie w Chicago, sążąc z telegramu, który panom zaraz odczytam:

„G. H. nieobecny w Chicago. Wyjechał do Nowego Jorku we środę 22-go. Ma poważne przeszkody w otrzymaniu naglącej sumy. List wysłany“.

— Depesza ta nadeszła w nocy, panowie. Przed chwilą otrzymałem d u gą następującej treści:

„Ostatnie wiadomości. G. H. wspominał o samobójstwie w klubie w przeddzień wyjazdu. Miał wygląd człowieka zrozpaczonego. Zakłady na wyścigach i spekulacje nieostrożne. Znajduje się w sąsiedztwie“.

W czasie odczytywania tej depeszy wszedł na salę właściciel hotelu, gdzie mieszkał Byrd; towarzyszył mu policyant wysłany po niego.

— Świadek tu obecny — rzekł koroner — jest właścicielem hotelu „pod Złotym Lwem“. Zechciej pan się zbliżyć, panie Seymond. Czy przyniesie pan ze sobą księgę meldunkową?

— Tak jest, panie koronerze! — odpowiedział nowoprzybyły, widocznie zmieszany.

— Proszę ją oddać panom przysięgłym i powiedzieć nam tymczasem, czy nie zatrzymał się w tych dniach u pana jakiś podróżny z Chicago?

— Nie wiem, proszę pana. Mamy pełno gości w tych czasach w hotelu i trudno mi wobec tego przypomnieć sobie.

— Kto to jest ten Karol Smith, który wpisał się jako przybysz z Chicago? — zapytał sędzia, przeglądający księgę meldunkową.

Pan Seymond zbliżył się i spojrzał poprzez ramię czytającego.

— Smith? Smith? Ach! Tak... to ten pan, który przybył wczoraj... Musi być jeszcze w hotelu.

Do obne wydarzenie, zaszło przy drzwiach, wiodących na korytarz, przerwało na chwilę badanie. Człowiek o szerokich ramionach, w którym Byrd przeczuł kolegę, wyciągnął z kieszeni chustkę i wypuścił ją z ręki. Chustka upadła tuż obok kapelusza, należącego do nieznajomego o herbowym pierścieniu. Pospieszając ją podnieść, tamten niezręcznym ruchem — tak się przynajmniej wydawało patrzącym, ubawionym tem wydarzeniem — potknął się o kapelusz, który potoczył się o parę kroków dalej. Tym sposobem chustka człowieka o szerokich ramionach znalazła się tuż obok chustki złazonej w kapeluszu.

Pan Byrd łatwo pojął cel tej gry i nie zdziwił się wcale, kiedy kolega jego oglądał bacznie obydwie chustki, nie mogąc rozpoznać swojej i po chwili, jedną z nich włożył w kapelusz nieznajomego.

Koroner po krótkiej przerwie pytał dalej:

— Dlaczego pan, panie Seymond, jest tak zakłopotany, mówiąc o podróżnym, przybyłym wczoraj?

— Dlatego... proszę pana... że... bo to on już drugi raz staje w moim hotelu, a meldowany był raz tylko...

— Kiedyż to był pierwszym razem?

— We wtorek przeszły — oświadczył hotelarz, widząc, że nic się już ukryć nie da.

— W dzień zbrodni?

— Tak, panie koronerze!

— Czy zechce mi więc pan wyjaśnić, dla jakiej przyczyny dnia tego nazwisko jego nie zostało do książki meldunkowej wciągnięte?

— Dla tej przyczyny, że w tym dniu nie wziął pokoju. Przyszedł tylko do baru na przekąskę.

— Ale go pan widział? Mówił pan z nim?

— Prosił mnie o adres, który mu dałem.

— Jaki adres?

— Pani Clemmens, panie koronerze.

Nareszcie więc sprawa zaczynała się rozjaśniać. Widoczna ulga odbiła się na wszystkich twarzach.

— Ten pan Smith zapytywał więc pana o adres pani Clemmens? O której godzinie to było?

— O wpół do dwunastej rano, proszę pana.

— Fatalna godzina! A potem opuścił pana?

— Tak, panie. Widziałem go dopiero wczoraj wieczorem. Był w barze i zapytałem go, czy zajął pokój. Odpowiedział mi twierdząco i poszliśmy razem na górę.

— Mówił mu pan o morderstwie?

— Pozwoliłem sobie na lekką aluzję, bo ciekawy byłem, co miał do roboty u pani Clemmens, ale udał, że mnie nie rozumie, a ja nie śmiałem nalegać więcej.

— Jakież to rodzaj człowieka ten pan Smith?

— Bardzo przyzwoity człowiek, proszę pana. Nigdy nie była mi przyszła myśl mieć jakiegoś podejrzenia względem niego.

Doktor Fradwell obrzucił świadka surowym spojrzeniem.